

KAZIMIERZ KALINOWSKI.

Z oparów krwi

Powieść dyktowana przez autora w transie.
(Prawa przedruku, przekładu i przeróbki zastrzeżone).

90)

A w tym macie głosów, tętniących w myślach Piotra, odzywał się niekiedy wyraźny, acz przedziwnie daleki, głos Edwarda:

— Człowieka brak... człowieka!

Męczył się Piotr Nelin strasznie. O własne pięści kurczowo zaciśnięte tłukł wysokie czoło, a wargi zagryzał do krwi.

— Co będzie? I co dalej będzie?

I naraz ocknął się. Spojrzał przed siebie. Wśród pomroki jaśniała twarz Maryi, wpatrzona w niego szeroko otwartymi oczyma.

— Nie śpisz — zapytał.

— Nie mogę...

— A ja bym czasem chciał... bardzo bym chciał zasnąć... i zbudzić się... aż kiedyś... gdy cały wiek przeminie...

— Tyś, Piotrze, jeden wiek przespał... i zbudziłeś się w nowym bycie...

— Tak, prawda, prawda. Ja już taki potop krwi oglądałem żywymi oczyma... a potem, powiadasz, spałem...

— Gdyby to, Piotrze, wiedzieć, jak ten sen wygląda... ten długi sen wiekowy, co dzielił ów czas, kiedyś tobie gemmę dała na pożegnanie... od tego znów czasu, gdy gemma, ożywszy, męczy się... przebudzona.

— Co tobie, Maryo? co tobie? ty się bardzo męczysz.

— Strasznie.

— Widzisz... męczymy się wszyscy.

— O nie, Piotrze, nie! wy wszyscy inne macie życie... jeno ja tak skazana na mękę kamienną... jak ta twoja gemma...

Piotr rękę wychylił ku niej i po włosach przesunął. Marya oczy przymknęła. Piotr palcami wodził po jej czołe, a pod jego czaszką myśli wirowały, jak gdyby gwiazdek jasnych miliony poprzez ciemne otchłanie bytów.

Różyczka stanęła nad nim.

— Piotrze... Piotrze! — wołała. Lecz Nelin nic nie słyszał.

— Zbudź się... zbudź się — powtarzała.

Ocknął się Piotr.

— Ktoś ty? — szepnął jak w oblędzie.

— Ty mnie pytasz... a nie wiesz ty... kto ty jesteś...

— Nie wiem... kiedyś zagubiłem się... zapodziałem... i sam się odnaleźć nie mogę.

— Piotrze, nie zasypiaj... Nie czas tobie na nowy sen... My jednak mamy iść dalej razem.

— My — drgnął Piotr. — Kto?

— Razem! — głos mu powtórzył nad uchem mocniej.

— Z kim?

— W życie...

— Ale z kim? dokąd i poci?

— Nie upadaj, Piotrze... dźwignij się...

Zerwał się Nelin z miejsca, otrząsnął.

Głowa Maryi zsunęła się na jego piersi. Uniósł ją i obudził.

Mrok był wokół. Noc zgnęła, przejmująca do kości.

Nelin wstał, zostawiając Maryę i zaczął chodzić szerokimi krokami dookoła samochodu.

Maryja zasnęła.

Zbudziła się Iza. Wstała, podeszła do Piotra i zairzowała go.

— Zygmunt mi mówił tej nocy, że upadasz na ducha, mój Piotrze.

— Podnieś mnie — szepnął.

— Tak, Zygmunt mi mówił, że ci bardzo potrzeba pomocy.

— Ty mi nie daj upaść.

— Bądź mocny, Piotrze, bo mnie Edward ostrzega, że chwila nadeszła, w której podupaść nam nie wolno.

— Co powiadasz... co? czekaj... — zaraz... niech sobie przypomnę... już mi tej nocy ktoś kazał nie upadać... nie zasypiać, gdy ja tak pragnęłam zasnąć... i wiek przespać, by na tę mękę świata nie patrzeć... i wraz z narodem moim nie zapadać w trzęsawisko...

W tej chwili Alferow, zbudziwszy się, przywoływał ich ku sobie.

— „Ojcie, bądź mocny” rzekła mi Klaudia. Przed chwilą. Rozumiecie? Rozumiecie?

— Coś się dzieje...

— Coś się staje...

— Czekaj nas coś, prawda, Izo?

— Spokoju, spokoju... wszak Oni są z nami.

— A ty, Izo, jesteś między nami — Piotr dodał. — Więc możemy być spokojni.

Rozbudzono Jankę, przygotowano się do dalszej podróży.

O świcie wypadła im droga pomiędzy lasem a jeziorem. Kołowali długo i nigdzie wybrnąć nie mogli z bezdroży. Więc trzeba się było zdecydować przejechać nieopodal mieszkań ludzkich bardzo niegdyś licznej osady fabrycznej, w której dziś dawno życie zamarło.

Chcieli pędzić, jak wicher przelecieć mimo siedlisk ludzkich, o wczesnej porze, kiedy może spać jeszcze będą. Niesiety, fatalny stan drogi zmuszał do jazdy powolnej.

Do gorsza jednak, wyechawszy z poza lasu, ujrzeli naraz gęsty tłum ludzki nad brzegiem jeziora, właśnie tam, kędy im wypadła droga.

Już się cofnąć nie dało. Trzeba się było odważyć przejechać.

Z konieczności jechali stępą, nie tylko przez wyboje, ale i przez płaczące się po gościńcu cienie ludzkie.

Nad brzegiem wielkiego, czarnego jeziora odprawiało się jakieś nabożeństwo. Wyglądało tak, jakgdyby te modły nad wodą całą noc już trwały, i może miały się ku końcowi.

Tłum mało zwracał uwagi na przejeżdżające auto, więc przedostali się nareszcie na drugą stronę ciżby, przez nikogo nie nagabywani — gdy naraz maszyna ułknęła.

To dopiero skierowało oczy bliżej stojących na samochód i podróżnych. Kilkoro ludzi oderwało się od tłumy i zbliżyło do turkoczącego głośno jeszcze w miejscu motoru.

Podróżni nie chcieli nikogo o nic pytać. Zachowywali milczenie. Janek zaś z pomocą Alferowa jął śpiesznie majstrować przy aucie, by coby prędzej można było z miejsca uciekać.

A wiem w ciżbie skupionej nad brzegiem, coś ryknęło... i za chwilę można było wyrozumieć, że cała rzesza uderzyła w wielki płacz, nad którym zrywały się chwilami jakieś ekstazyjne wołania duchownego... to znów czyjeś łkania wydierały się przeraźliwie... czyjeś łki zgrzytem zakłócały chorał szlochów.

Piotr nie zdzielił.

— Głód u was wielki — zagadnął wyrostka, z trudem trzymającego się na nogach tuż przy aucie.

— Umyślił — odparł chłopak — potopić się gromadnie.

Iza zairzowała jak ptak, znielacka postrzelony. Maryja wybuchła spazmatycznym płaczem.

Piotr jął rozpytywać wyrostka, ale krzyki zgromadzenia nad jeziorem tak się wzmogły, że nic nie było słychać słabego głosu odpowiedzi chłopca.

— Potopić się... potopić — brzmiało kilkakrotnie.

A wtem właśnie jakiś ruch niesamowity ogarnął ciżbę ludzką.

Alferow z Piotrem stanęli na siedzeniach samochodu, by lepiej widzieć. Maryja zaś, łkaniem wstrząsana, leżała na piersiach Izy, która oczy przymknawszy, coś szepotała spiekłami wargami.

Krzyki nieludzkie rozdzierały powietrze.

Z oparów nocnych nad jeziorem wstawało słońce — niby krwawa plama, błotną rzęsą zasnuła.

Ciżba malała. Ludzie z gościńca znikali.

A tylko czarne, ponure zwierciadło ogromnego jeziora pod lasem kołysało się na wielkiej przestrzeni i wodą bryzgowało w górę.

Piotr z Julianem, ledwie wyszli patrzeć, już zsunęli się w dół... Z głowami na łokciach opuszczonymi siedzieli jak martwi.

Wiem od strony jeziora podszedł jakiś ryży człowiek do samochodu i przyglądał się uważnie. Nikt go nie zauważył prócz Janki. Ten zaś, spostrzegłszy go, zmieszał się wyraźnie — i co rychlej nachylił się pod maszynę, by dalej pracować, dobrze nią zasłonięty.

Lecz ów człowiek obszedł auto dookoła i naraz rękę wyciągnął ku Jankowi, w mocną łapę chwycił kołnierz futra i dźwignął młodzieńca w górę.

Obruszył się Janek. Lecz w tej chwili ciężka łapa zdarła mu z głowy maskę ochronną z okularami automobilistą.

— Poznałem cię, to ty, zbiegu! Poczekaj... z kim to ty uciekasz?

Alferow i Nelin stali gotowi na wszystko.

Ów napastnik zażądał papierów. Przyjrzał się legitymacyom, a potem brutalnie zaglądał

po kolei wszystkim pod maski.

Wreszcie zakonkludował:

— Stać w miejscu!

Zaszedł z tyłu i błyskawicznie z rewolweru wpakował Jankowi kulę w kark.

Młodzieniec się zwalił z nóg.

Alferow runął na niego z krzykiem, lecz zbior oderwał przemocą ojca od trupa syna i wciął go z powrotem do wnętrza pojazdu.

Przy nich w tej chwili stało już kilku żołnierzy. Jeden zaś z nich oglądał auto, by sprawdzić, co jest do naprawy.

Zdecydowano po naradzie, że maszynę nie prędko da się ruszyć z miejsca.

Żołnierze zatem rozdzielali z podróżnych prawie wszystko, co na nich było, poskładali to w pojeździe, skrupowali tak rozdzielanych ze sobą — Piotra z Izą, Juliana z Maryą — i pogнали ich przed siebie, gdy inni zostali na straży przy cennej zdobyczy.

Pędzono więźniów ciągle ponad stawem, po którego powierzchni pływały sine ciała topielców z sąsiednich wsi głodnych.

Na drugim brzegu jeziora przstanęli przed budką sztyldwacha.

Przed nimi leżało całe miasto baraków.

Czekali przez dłuższą chwilę, aż przyszedł ktoś starszy i furtę otworzył w płotach z drutów kolczastych.

Wpuszczono ich w obręb obozu i zapędzono do baraku, stanowiącego kancelaryę.

Do jakiejś komórki wepchnięci, czekali niedługo. Wywołano ich na śledziwo.

Wesził do większej izby, a tam wyszedł ku nim ów ryży zbior — morderca Janka — z długim harapem w ręku i przywitawszy ich plugawym słowem, jął po kolei ćwiczyć ich ciała plecią z kolcami — aż krew tryskała.

XIX.

Kiedy podczas śledziwa zapytał ryży zbior Alferowa, kim jest, Julian podniósł na niego oczy, wpatrywał się przez długą chwilę milczenia w jego odrażającą twarz dzłobałą, piegami obsypaną i ognistym zarostem obwiedzioną, w jego małe oczka siwe, zezem patrzące i wreszcie odpowiedział:

— Jestem ojcem młodego człowieka, któregoś zastrzelił.

Zbój rzucił się ku niemu, ułapił za ramiona, wstrząsał mocno i pchnął od siebie tak, że się Julian pod ścianę zatoczył, lecz Piotr go powstrzymał od upadku.

Ryży zaś jeszcze za nim poskoczył i w brzuch go kopnął.

Piotr nie dał żadnej odpowiedzi na pytania. Stał wyniośle, przeszywając błyskawicowemi spojrzeniami nikczemne oblicze swego marnego sędziego, a z karku cieniutka struga krwi spływała mu bez przerwy.

Ryży niecierpliwił się tem milczeniem Nelina. Wreszcie tupnął nogą w dziurawą podłogę, zapowiadając, że mu każe wsadzić sto batów, jeżeli się nie odezwie.

Piotr odwrócił się od stołu, przed którym stał i w milczeniu odszedł z powrotem w kąt izby, gdzie stali jego towarzysze. Ale zbój na widok krwi na karku Piotra z zadanej jego harapem rany, wpadł w pasję, złapał z kąta pod ścianą karabin i zamierzając się kolbą na rzeźbierza, już miał go ugodzić, gdy między nim a Piotrem stanęła Iza.

Posunęła się tylko jednym krokiem przed siebie i pełna dostojności bladą twarz matową podniosła na napastnika.

On spojrzał w jej oczy zielone swemi siwemi ślepkami i cofnął się. Karabin odrzucił pod ścianę i pięściami pogroził w stronę Piotra.

Wrócił do stołu, zaczął się przypatrywać Izie, bez ruchu stojącej z plamami czerwonymi na całym odzieniu od krwi z ołowianych guzów i żelaznych kolców podczas chłosty.

Rzucił jej kilka pytań nadarmo. Milczała. Zaczął sypać jakieś groźby, lecz kiedy go zmierzyla spojrzeniem pełnem godności z głębi swych tajemniczych oczu, zachłysł się i zamilkł. Rzucił jeszcze wzrokiem na figurkę Maryi i wybiegł za drzwi.

Sprowadził po kwadransie kilkoro ludzi i zapytywał, czy nie znają tych czworga nowych przybyszów.

(Ciąg dalszy nastąpi).